



ZŁOTE POCAŁUNKI

opowieści niezwykłe

Armoryka

ZŁOTE POCAŁUNKI

ZŁOTE POCAŁUNKI

OPOWIEŚCI NIEZWYKŁE

*Alfons Daudet, Guy de Maupassant,
Catulle Mendès, Edgar Allan Poe*

przełożył Zygmunt Niedźwiecki.

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Włóczyśław (Włóczek) Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-033-8

Catulle Mendès (1841 – 1909)

ZWIERCIADŁO

I.

Działo się to w królestwie, w którym nie było ani jednego zwierciadła. Wszystkie lustra i lusterka, i takie, którymi się ozdabia ściany, i te, które się trzyma w ręku i owe wreszcie, co bywają noszone u paska, — potłuczono, strzaskano na drobne kawałeczki z rozkazu królowej; w razie odkrycia zaś najmniejszego choćby zwierciadła w czyimkolwiek domu, mieszkańców tegoż czekała śmierć niechybna wśród najstraszniejszych w świecie mąk. — Co się tyczy motywów tego dziwaczного kaprysu, nie myślę z niego przed wami czynić tajemnicy. Ponieważ królowa była tak brzydka, że najszybszy potwór wydałby się przy niej prześlicznym, nie

chciała więc za nic w świecie być każdej chwili narażoną na to, aby przechodząc przez miasto, ujrzeć naraz brzydotę swoją w odbiciu, a z drugiej strony szukała w tem dla siebie satysfakcji, by inne kobiety, piękne, nie mogły rozkoszować się w lustrach swoją pięknnością.

Pojmiecie łatwo, że młode dziewczęta i kobiety tego kraju nie były z takiego rozporządzenia wcale zadowolone. Cóż komuś z tego, że ma najcudniejsze w świecie oczy, usta świeże jak pączek róży, włosy ślicznie ustrojone kwieciami, jeśli nie może oglądać swoich oczu, ust swych, swej fryzury? A o przeglądaniu się w jeziorach i strumykach nie mogło być nawet mowy, gdyż wszystkie rzeki i stawy w kraju pokryto szczelnie deskami, wodę zaś dobywano z studni tak głębokich, że niepodobna było dosięgnąć okiem ich płynnej powierzchni, i to nie w konwiach szerokich, gdzie by było dość miejsca na odbicie ładnego buziaka, ale w naczyniach o ciasnym wylocie, nie wystarczającym na pomieszczenie najdrobniejszej choćby twarzyczki. Toteż rozpacz płci pięknej przechodziła wszelkie granice, szczególnie u osóbek zalotnych, których liczba w tym kraju nie była wcale mniejszą niż gdzie indziej. Ale królowa pozostała niewzruszoną, ciesząc się z tego nieopisanie, że jej poddankom tę samą prawie przykreść czyni nieemożność oglądania samych siebie, jaką jej by sprawiło, gdyby siebie ujrziała.

II.

Tymczasem na jednym z przedmieść stolicy żyło młode dziewczę imieniem Hiacynta, nieco mniej tym wszystkim od innych zmartwione, ponieważ kochał się w niej młody chłopiec. A ktoś, co nas znajduje piękną i nieustrudzenie nam to powtarza, — może nam do pewnego stopnia zastąpić zwierciadło.

— Naprawdę? — pytała go raz po raz uszczęśliwiona. — Kolor mych oczu nie razi cię niczym?

— Oczy twoje podobne są do bławatków, na których zawisły dwie jasne krople ambry.

— I nie mam skóry zbyt czarnej?

— Dowiedz się, że twoje czoło czystsze jest niżeli płatek śniegu, dowiedz się, że twoje lica są, jak róże, blade a przecież płonące!

— A co też mam myśleć o moich ustach?

— Że są podobne rozciętej jagódce maliny.

— A o mych zębach, jeśli łaska?

— Że ziarnka ryżu, równie im delikatne, nie są przecież tak białe.

— Czy nie powinnam się jednak niepokoić o kształt moich uszu?...

— O tak! niepokojąca to rzecz, ukrywać w leciuchnym puchu swych włosów dwie takie muszelki precudne, na których widok przypomina się świeżo rozwity goździk.

Tak rozmawiali z sobą, ona oczarowana, on w jeszcze większym zachwycie, nie wyrzekł bowiem ani jednego słowa, które by nie było prawdą najczystsza, gdyż wszystko to, czego pochwały upajały ją, jego upajało swym widokiem. I oto miłość ich stawiała się coraz gorętsza. W dniu wprawdzie, w którym ją zapytał, czy zechce go za męża, dziewczę zarumieniło się, zaiste jednak zarumieniło się nie ze strachu — a człowiek, który, dostrzegłszy w owej chwili jej uśmiech, przypuściłby, że uśmiechała się jej myśl powiedzenia: „nie” — również omyliłby się bardzo. Nieszczęściem wieść o tym małżeństwie dotarła aż do uszu niedobrej królowej, której jedyną rozkoszą było zakłócać cudze szczęście, Hiacynta zaś większą niżeli ktokolwiek wzbudzała w niej zawiść — będąc ze wszystkich najpiękniejszą.

III.

Kiedy się przechadzała razu pewnego, na krótko przed swymi zaślubinami, po sadzie, zbliża się ku niej starucha jakaś, prosząc o jałmużnę — wtem odskakuje z krzykiem, jak człowiek, co węża nadeptał.

— Nieba! co widzę!...

— A wam co?! dobra kobiecino... Cóż to takiego ujrzeliście?...

— Coś najbrzydszego na całym świecie!

— To chyba nie mnie z pewnością! — odrzekła Hiacynta, śmiejąc się.

— Niestety, tak, biedne dziecię... Ciebie właśnie... Długo już żyję na tej ziemi, ale nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać osoby tak brzydkiej jak ty.

— Ja jestem brzydka?... ja?...

— Stokroć brzydsza, niżeli to wyrazić można.

— Jak to!... A moje oczy?...

— Szare jak pył uliczny! Lecz toby jeszcze było pół biedy, gdybyś nie zezowała najokropniej.

— Toż moja cera...

— Czarnaś jak smoluch jaki.

— Ale usta...

— Błade jak zwiędły kwiat jesieni.

— A zęby...

— Jeżeli zęby tym są piękniejsze im szersze, im bardziej żółte, w takim razie nikt chyba nie ma piękniejszych niż twoje...

— Ach!... więc chociaż uszy przynajmniej...

— Masz uszy tak duże, takie czerwone i obrośnięte pośród tych twoich rozczochranych włosików, że trudno na nie spojrzeć bez wstrętu. Ja przecież nie jestem wcale ładna, a przecież zdaje mi się, że umarłabym ze wstydu, gdyby moje były takie same.

To rzekłszy, stara — musiała to być jakaś czarownica, zaprzyjaźniona z niedobrą królową — uciekła, parszając złośliwym śmiechem, podczas kiedy Hiacynta padła na ławkę, pomiędzy dwoma jabłoniemi, cała w łzach.

IV.

Nic nie było w stanie biednej pocieszyć w jej strapieniu.
— Jestem brzydka! — jestem brzydka! — powtarzała bez przestanku.

Daremnie narzeczony zapewniał ją, że się myli, i przysięg nie szczędził największych.

— Daj pokój!... kłamiesz przez litość — odpowiadała. — Teraz dopiero pojęłam wszystko. Uczucie twoje dla mnie nie płynie z miłości, lecz jest litością! żebraczka nie miała najmniejszego powodu powiedzieć mi nieprawdę; i po cóż miałyby mnie oszukiwać?... Tak, tak, jestem brzydką!... Nie pojmuję tylko, jak mogłeś znosić mój widok tak długo?...

Aby ukochaną wywieźć z błędu, sprosił do jej domu dużo ludzi; wszyscy mężczyźni oświadczyli, że Hiacynta jest jakby stworzona na to, aby się oczy z rozkoszą poily jej widokiem; powiedziało toż samo nawet wiele kobiet, jakkolwiek naturalnie z przekonaniem znacznie mniejszym. Lecz wszystko nadaremnie, biedna dziewczyna upierała się przy swym przeświadczeniu, że wzbudza postrach.

— Zmówiliście się, żeby przede mną zataić prawdę.

A kiedy kochanek począł nalegać o przyspieszenie dnia godów, odrzekła:

— Ja?... twoją żoną? Przenigdy!... Zanadto szczerze cię kocham, aby ci robić prezent z takiej brzyduli jak ja.

Możecie sobie wyobrazić rozpacz młodego człowieka, za kochanego tak szczerze. Rzucił się na kolana, prosił ją, błagał... Odpowiadała jednak niezmiennie, że jest „za brzydka, aby iść za mąż.”

Co tu robić?... Jedynym sposobem, jakim można by zadać kłam starej wiedźmie a udowodnić prawdę Hiacyncie, byłoby: stawić jej przed oczy zwierciadło. Ale zwierciadeł nie było w całym państwie a strach, jaki królowa wzbudzała, był tak wielki, że żaden rzemieślnik nie podjąłby się go sporządzić.

— Ha! Pójdę na królewski dwór! — powiedział sobie w końcu narzeczony. — Pomimo całej swojej srogości władcy nasi da się przecież wzruszyć mym łzom i pięknosci Hiacynty i cofnie, choćby na godzin kilka, okrutny zakaz, będący źródłem całego nieszczęścia.

Wiele kosztowało trudu nakłonienie młodej dziewczyny, aby się dała do pałacu zaprowadzić; nie chciała i nie chciała się ludziom pokazywać, taka brzydka; a potem na cóż się więcej zwierciadło przydać może, jak nie na tym wyrazistsze przekonanie jej o jej nieszczęściu, na które nie ma lekarstwa! Dopiero kiedy narzeczony wybuchnął płaczem — przystała.

V.

— Cóż tam znowu takiego? — ozwała się opryskliwie nie-dobra królowa. — Co to za ludzie i czego chcą ode mnie?

— Wasza królewska mość ma przed sobą najbardziej pożałowania godnego z narzeczonych na całej kuli ziemskiej.

— To mi dopiero powód, aby mnie niepokoić!

— Miej litość najjaśniejsza pani!

— Ech! cóż ja wam mogę poradzić w waszych strapieniach miłosnych?

— Gdybyś najjaśniejsza pani zezwolić raczyła, aby jedno tylko zwierciadło...

Królowa podniosła się z tronowego stolca, drżąc gniewem.

— Kto śmie tu wspominać O zwierciadle?! — wyrzekła, zgrzytając zębami.

— O, niech się wasza królewska mość nie unosi!... Łaski!... Proszę mnie tylko wysłuchać. Ta młoda dziewczyna, którą